

Walka o środowisko to walka o demokrację

13 sierpnia 2016

Była godzina 11.00. Evo Morales przemienił stadion piłkarski w olbrzymią pracownię szkolną. Posługując się rekwizytami takimi jak papierowe talerze, kubki z plastiku, jednorazowe płaszcze przeciwdeszczowe, ręcznie wyrabiane tytkwy, drewniane naczynia i kolorowe poncho, przekonywał słuchaczy, że walka ze zmianą klimatu wymaga „powrotu do wartości rdzennych mieszkańców naszego kraju”.

Nie jest to lekcja, która interesuje bogate kraje. Te ostatnie zadowolili się przepchnięciem planu, który w najlepszym razie doprowadzi do podniesienia średniej temperatury na świecie o 2 stopnie Celsjusza. „To oznacza topnienie lodowców w Andach i w Himalajach” – Morales przekonywał zgromadzone na stadionie tysiące uczestników „Światowej Konferencji Narodów Poświęconej Zmianom Klimatu i Prawom Matki Ziemi”. Nie dodał już, bo wszyscy to rozumieli, że zrównoważony rozwój ograniczony do samej tylko Boliwii nie ocali lodowców.

Boliwijski szczyt klimatyczny miał swoje chwile radości, humoru i absurdu. Jednak nieustannie towarzyszyła obradom wspólna emocja, która przywiodła tu wszystkich uczestników: gniew na własną bezsilność. Trudno się dziwić. W Boliwii trwa wielka polityczna transformacja. Upaństwowiono kluczowe gałęzie przemysłu, a głos rdzennej ludności zyskał na znaczeniu jak nigdy dotąd. Ale w kwestii najbardziej niecierpiącej zwłoki, wręcz zagrażającej istnieniu państwa – alarmujące tempo topnienia lodowców grozi odcięciem dwóch największych miast od źródła wody pitnej – obywatele Boliwii są bezsilni. Tego kryzysu nie zażegnają samodzielnie.

Przyczyna topnienia lodowców nie leży bowiem w Boliwii, ale na autostradach i w strefach industrialnych wysoko

uprzemysłowionych krajów. W Kopenhadze przywódcy narodów zagrożonych zmianami klimatu, takich jak Boliwia i Tuwalu, żarliwie domagali się cięć emisji na tyle głębokich, by zdołały zapobiec katastrofie. Dyskretnie dano im do zrozumienia, że w krajach Północy nie ma po temu woli politycznej. Stany Zjednoczone posunęły się nawet nieco dalej i postawiły sprawę jasno: problemy klimatyczne mogą zostać rozwiązane bez udziału krajów tak małych jak Boliwia. USA wolały negocjować układ z innymi potęgami przemysłowymi za zamkniętymi drzwiami, a inne kraje poinformować o wynikach rozmów i zaprosić do podpisania gotowych umów. Właśnie tak się stało w Kopenhadze. Kiedy Boliwia i Ekwador odmówiły firmowania porozumienia osiągniętego bez ich udziału, rząd USA obciął im pomoc klimatyczną odpowiednio o 3 i 2,5 mln dolarów. „W tym procesie nie ma miejsca dla pasażerów na gapę” – oświadczył amerykański negocjator Jonathan Pershing. (Kto wciąż nie rozumie, dlaczego aktywiści z krajów Południa wzywają do odrzucenia samej koncepcji „pomocy klimatycznej” i zamiast niej domagają się spłaty „długu klimatycznego”, właśnie otrzymał odpowiedź). Stanowisko Pershinga jest równie jasne co bezduszne: przetrwanie ubogich narodów nie jest kwestią priorytetową.

Morales zorganizował więc w Cochabambie szczyt klimatyczny na własną modłę i zaprosił do udziału „ruchy społeczne i obrońców Matki Ziemi (...), naukowców, wykładowców, prawników i przedstawicieli rządów” po to, aby przeciwstawić się tej bezsilności i podjąć próbę stworzenia grupy nacisku, która poprze prawo jego narodu do przetrwania.

Na wstępie rząd Boliwii przedstawił 4 daleko idące propozycje: że naturze należy się prawo do ochrony przez unicestwieniem ekosystemów („Uniwersalna Deklaracja Praw Matki Ziemi”); że naruszanie tych praw i innych międzynarodowych zobowiązań ekologicznych musi pociągać za sobą konsekwencje prawne („Ekologiczny Trybunał Sprawiedliwości”); że kraje biedne powinny otrzymywać różnorodne formy rekompensaty za skutki

kryzysu, za który nie są odpowiedzialne („Dług klimatyczny”) oraz że musi powstać mechanizm umożliwiający ludziom całego świata wyrażenie opinii w tych kwestiach („Światowe Referendum o Zmianie Klimatu”).

Kolejnym etapem było zaproszenie globalnego społeczeństwa obywatelskiego do wypracowania szczegółów. Zawiązało się 17 grup roboczych. Po kilku tygodniach dyskusji w Internecie ich członkowie zjechali się na tydzień do Cochabamby, aby na zakończenie szczytu przedstawić swoje ostateczne rekomendacje. Proces ten, choć fascynujący, jest daleki od ideału. Jim Shultz z Democracy Center zwrócił na przykład uwagę, że grupa robocza ds. referendum poświęciła więcej czasu na spory o jedno z proponowanych pytań (dotyczące obalenia kapitalizmu) niż na rozważenie praktycznych aspektów przeprowadzenia ogólnoswiatowego referendum.

Jednak entuzjazm, z jakim Boliwia zaangażowała się w demokrację bezpośrednią, może okazać się najcenniejszym owocem tego szczytu. A to dlatego, że kopenhaskie fiasko zapoczątkowało błyskawiczną karierę bardzo niebezpiecznej wymówki: że za niemożność porozumienia odpowiada sama demokracja. Oenzetowska procedura, w której każde ze 192 państw ma równe prawo głosu, okazała się jakoby niewydolna. W wąskiej grupie łatwiej dojść do porozumienia. Na ten haczyk złapali się nawet weterani ekologii, tacy jak James Lovelock, którego niedawną wypowiedź przytoczył Guardian: „Mam wrażenie, że zmiany klimatyczne mogą okazać się nie mniej groźne niż wojna. Być może trzeba będzie na jakiś czas zawiesić demokrację”. A przecież to właśnie negocjacje w wąskich gronach – takich jak elitarny klub, który przepchnął na siłę ugodę z Kopenhagi – zmusiły nas do ustąpienia pola i osłabiły wcześniejsze zobowiązania. Tymczasem Boliwia przedstawiła w Kopenhadze strategię walki ze zmianami klimatu nakreśloną przez uczestników powszechnych ruchów społecznych – i to właśnie ta strategia okazała się najbardziej nowatorską i najbardziej radykalną z dotychczasowych.

Organizując szczyt w Cochabambie, Boliwia próbuje przenieść krajowe osiągnięcia na forum globalne. Przedstawiciele całego świata zostali zaproszeni do opracowania wspólnego planu przeciwdziałania zmianom klimatu przed najbliższą konferencją Narodów Zjednoczonych w Cancún. Jak powiedział Pablo Solón, ambasador Boliwii przy ONZ: „Tylko globalna demokracja może uratować ludzkość przed nadciągającą katastrofą”.

Jeśli ma rację, proces boliwijski może ocalić nie tylko naszą coraz cieplejszą planetę, ale i naszą kulejącą demokrację. Nie byłoby to takie złe.

Autor: Naomi Klein

Tłumaczenie: Marek Jedliński

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)